

Macierzyństwo obrzygane tęczą i lukrem



Mam dosyć. Autentycznie mam dosyć, rzygam, nie mogę patrzeć. Mam dosyć wszechobecnego idealnego macierzyństwa. Internetowego i medialnego wyczyszczonego, wychuchanego, ekologicznego, pięknego życia z dzieckiem na sesjach zdjęciowych jak do magazynu Vogue. Słabo mi, kiedy obserwuję

szerzenie mitu macierzyństwa bez skazy, bez problemów i bez wad. Macierzyństwo obrzygane tęczą i lukrem – to nie dla mnie.

Trzeba to powiedzieć raz, jasno i wyraźnie: to nie jest prawda, życie takie nie jest. A jeśli jest, to bardzo, ale to bardzo sobie współczuję, bo najwyraźniej coś jest ze mną nie tak.

Moje życie takie BYWA. I to jest piękne, ale...

...zaczniemy od tego, kto w ogóle **nazwał ciążę stanem błogosławionym**. To wspaniałe, że w środku kobiety rozwija się nowe życie. Cud poczęcia i narodzin jest czymś niesamowitym, ale nie oszukujmy się: mało która kobieta czuje się w tym czasie jakby ją ktoś pobłogosławił. Wymiotuje, nie toleruje większości zapachów, czuje się jak napompowana guma balonowa albo wypluty ogryzek jabłka, a wszystko to wieńczy poród, który, jak głosi znane porzekadło, jest tylko początkiem bólu i cierpienia związanego z macierzyństwem.

Są w tym wszystkim piękne dni, jak z pięknej reklamy telewizyjnej i jeszcze piękniejszych kont *instamatek*. Ale te dni to nie codzienność, a nawet nie większość. Te dni to czasem połowa, a czasem mniejszość. Każda ciężarna i każda matka ma prawo do kryzysów, płaczu i załamania.

Kocham moje dziecko nad życie, miłością wielką i szaleńczą. Płaczę z tęsknoty, kiedy go nie ma, rozczulam się nad jego nowymi umiejętnościami, uwielbiam obserwować jak zasypia i zaduszać go uściskami i buziaczkami kiedy się budzi. Ale nie jestem idealna i historia mojego macierzyństwa też nie zaczęła się w idealny sposób.

A przecież społeczeństwo i media mówią, że matka ma być perfekcyjna, że ma nie narzekać, tylko cieszyć się czasem spędzonym z rodziną, partnerem i dzieckiem. Bo to i tak więcej niż zasłużyła. To wszystko prawda ale...

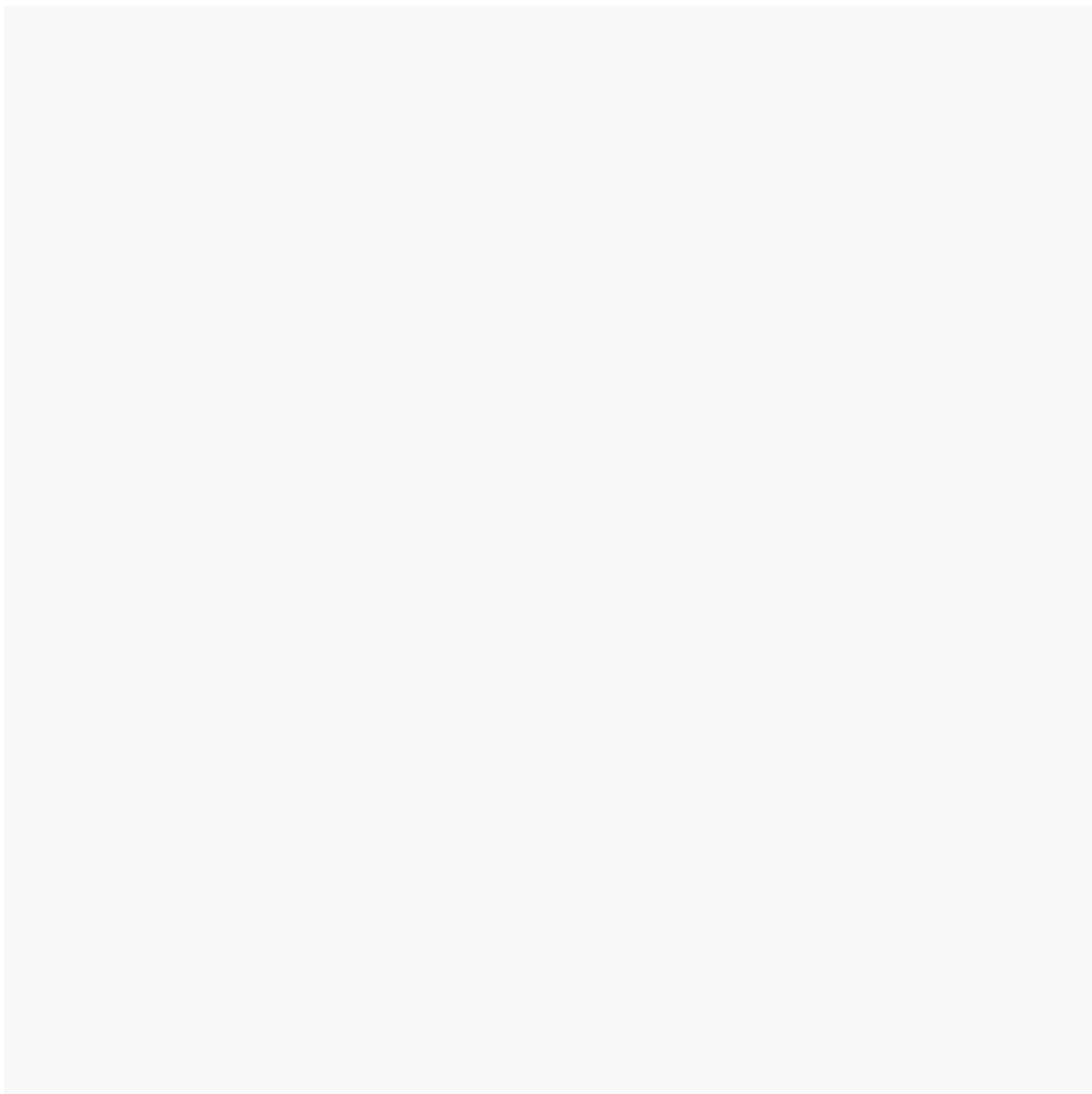
...matki z depresją poporodową **uśmiechają się** na zdjęciach i rodzinnych spotkaniach. To tylko przykład, ale jakże obrazowy. Czy to, że nie widać problemów, oznacza, że ich nie ma? Czy to, że inne mamy pokazują pozornie idealne życie oznacza, że my nie mamy prawa do gorszych chwil? Czy ja jako matka mam pokazywać tylko tęczę i lukier, a całą resztę zamykać pod dywan wynosząc moje macierzyństwo na piedestał i robiąc z siebie boginię domowego ogniska i perfekcyjną panią domu tylko dlatego, że urodziłam dziecko i założyłam rodzinę? Czy, jak niektóre celebrytki, mam się mianować specjalistką od dzieci i wychowania już w trakcie pierwszej ciąży?

Ja wolę pokazać, że każde macierzyństwo ma prawo o ten piedestał solidnie rąbnąć.

Nie ubieram swojego dziecka na spacer i do żłobka w *stylizacje*, modne i drogie ubrania. Zakładam mu wtedy sprany, wygodny dres z Lidla i czapkę po starszym synku koleżanki, którą akurat sobie upodobał i nie chce tej super-na-czasie-i-bardzo-trendy czapki, w którą całkowicie bez sensu zainwestowałam grube pieniądze. W domu chodzi na bosaka lub w skarpetkach, a nie w ślicznych kapciuszkach w skandynawskim stylu, na które zareagował stanowczym sprzeciwem.

Pozostając przy skandynawskim stylu, moje mieszkanie nie jest utrzymane w tak modnej teraz jasnej kolorystyce. Podłogi są ciemnobrązowe, a kanapa i łóżko są z łatwo ścierealnej i prostej w czyszczeniu alcantary. Mojemu mieszkaniu daleko jest do sterylności, co utrudnia mi robienie idealnych zdjęć na instagrama. Ze zdjęcia roweru, który dostałam od męża na urodziny musiałam wyciąć wielki błotnik samochodowy zawałający balkon i solidnie rozjaśnić filtrem kawałek niewypranego

dywanika, który niestety wszedł w kadr.



Zdjęcie zamieszczone przez użytkownika Magdalena Rogala (@motheratorka.pl) 9
Sie, 2016 o 11:24 PDT

Ulubione zabawki mojego dziecka nie są drewniane i nie są też biało-szaro-beżowe. Są plastikowe i kolorowe, a najchętniej Ignas bawiłby się tylko niezliczonymi ilościami metalowych

resoraków i innych samochodów, które tworzą jego wielką kolekcję poupychaną po kątach i w każdym możliwym regale. Zabawek nie trzymamy w białych papierowych workach, które jeszcze kilka miesięcy temu zostałyby przez moje dziecko pogryzione i zjedzone, a na dzień dzisiejszy ich jedynym losem byłoby przebicie przez śrubokręt (tak, zdarza mi się dać synkowi do zabawy śrubokręt i młotek, taka ze mnie zła matka). Kupiliśmy po prostu dwa duże i praktyczne plastikowe pudła z Ikei.

Ignas je słodycze, uwielbia galaretki i jajka z niespodzianką, a dzień bez *ciasia* jest dniem straconym. Dietę bez glutenu i bez laktozy wprowadziłam tylko i aż dlatego, że było podejrzenie alergii. Dużo wody pije dlatego, że soki nie bardzo mu podchodzą, a nie dlatego, że to mądre i wszędzie promowane. Wyjada nam z talerzy frytki i zapiekanki, a jego posiłki nie nadają się do uwieczniania i publikowania, bo daleko im do bezparówkowej i bezcukrowej perfekcji.

Uf, długo by tak jeszcze. O tym, że w wieku ponad dwóch lat nosi pieluchę, a ja nie mam nerwów, żeby się jej pozbyć. Że robi karczemne awantury, kiedy coś mu się nie podoba, a ja nie mam sił, żeby z nim walczyć. Porażka goni porażkę.

Pod moim wpisem o **ostatnich razach w życiu dziecka** pojawił się komentarz:

*Prawdę mówiąc, dla mnie trochę dołączający ten wpis. □
Spodziewałam się czegoś innego.*

Jeżeli nas, matki, dołącza naturalna kolej rzeczy i życie, którego nieodzownym elementem jest to, że coś się kończy, a coś zaczyna, to jak będziemy reagować na większe problemy? Jeżeli pokazanie, że macierzyństwo ma nie tylko blaski, ale i cienie, jest takie trudne to...

...to ja tym bardziej będę to podkreślać. Że jestem matką, ale jestem słaba. Że nie mam cierpliwości, że nie chce mi się, że

mam dość i jestem zmęczona. Że mam prawo narzekać, płakać, krzyczeć i przeklinać. Że mój dom, moja rodzina i mój sposób wychowywania dziecka nie są idealne. I idę o zakład, że większość z nas to robi. Gatunek ludzki został bardzo dziwnie skonstruowany przez ewolucję, bo dał nam w prezencie młode osobniki, które formę dojrzałą osiągają nie w ciągu kilku tygodni lub miesięcy, lecz w ciągu lat, od osiemnastu do nawet ponad czterdziestu, w zależności od tego, jak trudny jest dany przypadek. Matki innych gatunków wypychają pisklaki z gniazda i po prostu o nich zapominają, a matki gatunku ludzkiego wypychają i płaczą, a co się po drodze nawściekają i najedzą nerwów, to ich.

Urodzenie i wychowanie dziecka na człowieka to długi i trudny proces, pełen wzlotów i upadków. Ale o ile wzloty są piękne i chwalebne, o tyle o upadkach milczymy i udajemy, że nie istnieją. Otóż istnieją i niemożliwe jest rodzicielstwo bez nich. Nie dla mnie. Nie zawsze. Ten brak snu, to ciągłe zmęczenie, ta nieustająca potrzeba, żeby poza byciem matką pozostać też kobietą i CZŁOWIEKIEM. To wszystko we mnie krzyczy. I jest cholernie trudne.

Bo o tym, co się dzieje z relacją pomiędzy kobietą i mężczyzną kiedy pojawia się dziecko, nikt wam nie powie. A dzieje się czasami bardzo źle. Bo ciągłe nerwy o zdrowie, o jedzenie, o zachowanie dziecka nie pozwalają na spokojne życie. I to nieprawda, że ktoś ma grzeczne i kochane dziecko, które nie robi bałaganu i nie sprawia problemów, a tylko Twoje jest inne. Nie istnieje coś takiego jak gładkie i bezproblemowe wychowanie dziecka, nie wierzę w to.

Nie pokazujmy tego cholernie perfekcyjnego macierzyństwa. Nie oszukujmy siebie i innych, że takie jest nasze życie. Nie dawajmy innym matkom odczuć, że są gorsze. Nie ma czegoś takiego jak gorsza matka czy gorszy rodzic, bo wszyscy mamy gorsze dni, tygodnie i miesiące. Ale to nie czyni nas gorszymi.

Wiecie, jacy wtedy jesteśmy? Normalni.

Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością!